

# Mieczysław Lubański

---

## Józef Bocheński - życie i dzieło

---

Studia Philosophiae Christianae 42/1, 9-25

---

2006

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MIECZYŚLAW LUBAŃSKI

## JÓZEF BOCHEŃSKI – ŻYCIE I DZIEŁO

Józef Franciszek Emanuel Bocheński urodził się dnia 30 sierpnia 1902 roku w Czuszowie, niedaleko Krakowa, w dawnym zaborze rosyjskim. Rodzina należała do trzeciej kategorii szlachty, tj. jedno- lub parowioskowej. Był, jak sam uważa, skrzyżowaniem dwu linii: twardej, pracowitej, zachodniej i miękkiej, ale za to inteligentnej, wschodniej<sup>1</sup>.

Ojciec Adolf był typowym inteligentem XIX wieku, wyznawcą Oświecenia. Wierzył w postęp ludzkości przez światło nauki, ale bez śladu fanatyzmu. Podobnie było z jego głębokim, ale pełnym umiaru patriotyzmem. Miał doktorat z ekonomii Uniwersytetu w Getyndze. Był człowiekiem głęboko dobrym, pełnym względów dla wszystkich. Jego postać stale fascynowała Józefa. Matka, Maria Małgorzata, z domu Dunin-Borkowska, miała naturę władczą, była obdarzona niezłomną wolą, żelaznym charakterem. Górowała nad swoim otoczeniem. Bezapelacyjnie rządziła mężem, dziećmi i dworem. Była surowa przede wszystkim dla siebie. Gorliwa katoliczka, żyła wyłącznie dla służby Bożej. Dobrze ocytana, nie-źle władała piórem<sup>2</sup>.

Miał troje rodzeństwa, dwóch braci (Aleksander i Adolf) i siostrę Olę. Aleksander przyznawał się na serio do wiary katolickiej i do równie szczerzej przyjaźni względem Moskwy bolszewickiej. Było to tak niezwykle, że nawet najinteligentniejsi komuniści nie wiedzieli, co z tym począć. Adolf, kawaler maltański, nieprawdopodobnie ocytany, rycerz bez trwogi i skazy, zginął podczas dru-

---

<sup>1</sup> J. Kozak, *Józef (Innocenty Maria) Bocheński. W poszukiwaniu racjonalnego ładu świata*, Przegląd Filozoficzny – Nowa Seria 7(1998)1, 17-30; J. Bocheński, *Wspomnienia*, Kraków 1994, 12, 14, 15, 16-17.

<sup>2</sup> J. Bocheński, dz. cyt., 14-16.

giej wojny światowej pod Ankoną. Siostra Olga była jedną z najgłębiej wierzących i zarazem najpogodniejszych osób, jakie spotkał w życiu<sup>3</sup>.

Kiedy Józef miał cztery lata, rodzina przeniosła się do Ponikwy w okolicy Lwowa. Z najmłodszych lat utkwiły mu w pamięci wydarzenia techniczne: instalacja generatora elektrycznego, pojawienie się pierwszej maszyny do pisania (ogromnej, marki Underwood) i samochodu. W roku 1918 rodzina osiada we Lwowie. Tu Józef uczęszcza do gimnazjum. Nauczycielem matematyki był wówczas Zygmunt Zawirski. Maturę uzyskuje w roku 1920. W obronie Lwowa nie wziął udziału. Miał wówczas 16 lat i mógł się bić, jak tyłu jego rówieśników i kolegów szkolnych. Miał po temu ochotę, ale jego rodzice byli stanowczo przeciwni. „Wojna nie jest dla dzieci” powiadali. W ciągu wielu lat miał z tego powodu wyrzuty sumienia<sup>4</sup>.

Po maturze mógł wziąć udział w końcowym okresie wojny z bolszewikami. Zauważa, że ta wojna jest najczęściej fałszywie interpretowana w piśmiennictwie zagranicznym, a nieraz także i polskim jako wynik polskich dążeń nacjonalistycznych. Żeby osiągnąć jaką taką jasność w tej sprawie, najpierw trzeba odróżnić dwie jej fazy. Pierwsza, rozpoczęta w 1918 roku i trwająca do kwietnia 1920 roku, miała ze strony polskiej charakter czysto obronny. Chodziło w niej po prostu o zabezpieczenie granic tworzącej się II Rzeczypospolitej przed imperialistycznymi zakusami Moskali, którzy od początku nie taili zamiaru zajęcia całej Europy. Druga, od kwietnia do zawieszenia broni w październiku 1920 roku, zaczęła się ofensywą polską, po czym nastąpił odwrót i po zwycięstwie w tzw. bitwie nad Wisłą, pościg aż po Korosteń<sup>5</sup>.

Jakie były nasze intencje, gdy podejmowaliśmy tę ofensywę? Najlepiej ukaże je tekst rozkazu naczelnego wodza: „Przewidywana ofensywa ma na celu uwolnienie Ukrainy spod okupacji sowieckiej. Na terytorium zajętych przez wojska polskie obejmie władzę administracyjną rząd ukraiński”. Taki był zamiar Piłsudskiego. Wszyscy w domu Bocheńskich tak rozumeli tę wojnę. Nie mogli się pogodzić z ciasno nacjonalistycznym pojęciem naszej tradycji. I Rzeczpospolita nie nazywała się Polską, ale „Rzeczpospolitą

---

<sup>3</sup> Tamże, 19.

<sup>4</sup> Tamże, 37, 39.

<sup>5</sup> Tamże, 41-42.

Obojga Narodów”, a największy jej poeta pisał: „Litwo, Ojczyzna moja”. Wojna, w której miał wziąć udział, nie była dla niego wojną polską, ale potrzebą Rzeczypospolitej, walczącej w owej chwili w pierwszym rządzie o wolność Ukrainy. Dzięki ta wizja należy do przeszłości. Jesteśmy ograniczeni, czy chcemy, czy nie chcemy do Polski. Winę za to ponoszą nacjonaści litewscy, białoruscy, ukraińscy, ale bodaj przede wszystkim polscy. Dzięki wspólnej pracy tych grabarzy Rzeczpospolita należy dziś całkowicie do historii. Ówczesna ofensywa nie była przedsięwzięciem nacjonalistycznym, ale nieudaną próbą odtworzenia dawnej wielonarodowej Rzeczypospolitej. Była także próbą złamania bolszewizmu, odczuwanego jako zagrożenie naszej cywilizacji jako całości<sup>6</sup>.

Płaciliśmy za dwa wieki rządów zaborców. W chwili gdy inne wielkie narody europejskie się tworzyły, Polska nie miała środków, by dokonać dwu integracji: poziomej i pionowej. Nie mogła zjednoczyć plemion, które w innych warunkach stopiłyby się z jej trzonem, jak to się stało na przykład we Francji i w Niemczech. Nie mogła także rozprowadzić w masach ludowych świadomości narodowej. Skutek był ten, że nosicielem myśli polskiej była szlachta. Ci, którzy z tego wnoszą, że Polska była krajem feudalnym, niczego nie zrozumieli i to z kilku względów. Najpierw dlatego, że szlachta w Polsce nie identyfikowała się bynajmniej z arystokracją ani nawet z klasą właścicieli latyfundiów. Była jedną ze stosunkowo najliczniejszych w Europie, obejmowała także wielu prostych gospodarzy wiejskich, szlachtę zagrodową. Następnie Polska przeżyła, podobnie jak Japonia, dziwne zjawisko rozlania się mentalności szlacheckiej na warstwy ludowe<sup>7</sup>.

Jak, z punktu widzenia moralnego, należy oceniać nasze ówczesne przedsięwzięcia wojenne? Zdaniem Bocheńskiego celem tym jest i powinno być zawsze zapewnienie względnego szczęścia poszczególnym jednostkom. Jeżeli tak, to o ile dzięki odpowiedniej polityce i wojnie uda uchronić wielu ludzi od wielkich nieszczęść, to zarówno polityka, jak i wojna są moralnie godne pochwały. Nie ulega wątpliwości, że cel ten został osiągnięty dzięki wojnie 1920 roku odnośnie do milionów ludzi w Polsce, być może w stosunku do setek milionów w Europie. Współcześnie mało kto wie, czym

---

<sup>6</sup> Tamże, 42.

<sup>7</sup> Tamże, 43.

była jeżowszczyzna, okres terroru, kiedy to na przykład na Ukrainie nie było prawie rodziny, która by nie opłakiwała kogoś zamordowanego, torturowanego, zesłanego w okrutne syberyjskie łagry. Ten sam los byłby niewątpliwie spotkał mieszkańców II Rzeczypospolitej i zapewne nie ich tylko, gdyby nie walka podjęta i wygrana przez Polskę<sup>8</sup>.

Nie wziął udziału w sławnej bitwie pod Komarowem, ale za to mógł ja dobrze widzieć. Stał cały dzień za małym wzniesieniem, za którym rozgrywała się bitwa. Pierwsze wrażenia nie należały ani do przyjemnych, ani do zachęcających. Z jego miejsca postoju było widać tylko ciężko rannych niesionych do punktów opatrunkowych oraz dobijanie rannych koni, słowem przykrą, ciemną stroną walki. Zwłaszcza to nieprzerwane dobijanie koni wywarło na nim wstrząsające wrażenie. Ma natomiast miłe wspomnienie z kwater chłopskich na Ukrainie. Nie było w stosunku do żołnierzy polskich żadnej wrogości, raczej ciekawość, a nieraz wprost życzliwość. W pamięci utkwiała mu zamożność tych włościan. Smutno pomyśleć, że bolszewicy potrafili w tym pięknym, bogatym kraju miliony robotników doprowadzić do śmierci głodowej<sup>9</sup>.

Po opuszczeniu wojska Bocheński w grudniu 1920 roku rozpoczyna studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. Nie będąc pewny trafności swego wyboru kierunku studiów, przenosi się dwa lata później do Poznania i tu rozpoczyna naukę na Wydziale Ekonomii Politycznej tamtejszego Uniwersytetu. Mówi w tym czasie, że jest niewierzący. Interesuje się sytuacją społeczno-polityczną w ówczesnej Polsce i Europie. Jest przekonany, że zmarnował dotychczasowy etap swego życia. Postanawia więc gruntownie zmienić styl swego postępowania. W czerwcu 1926 roku zgłasza się do Seminarium Duchownego w Poznaniu. Tu spotyka księży Kazimierza Kowalskiego i Aleksandra Żychlińskiego. Pod ich wpływem odzyskuje wiarę. Nawrócenie miało jako konkretny skutek postanowienie wstąpienia do zakonu. Wybrał zakon dominikański. Po sześćdziesięciu latach przeżytych w zakonie św. Dominika może powiedzieć, że się nie pomylił<sup>10</sup>.

---

<sup>8</sup> Tamże, 44.

<sup>9</sup> Tamże, 50, 53.

<sup>10</sup> Tamże, 67, 71.

W październiku 1927 roku rozpoczyna nowicjat w Krakowie. Z woli przełożonych wyjeżdża w październiku 1928 r. na studia filozoficzne do Fryburga. Tutaj uzyskuje doktorat z filozofii w 1931 r. Z polecenia przełożonych udaje się na dalsze studia do Rzymu w Angelicum. 26 czerwca 1932 roku otrzymuje święcenia kapłańskie w Archibazylice św. Jana na Lateranie. Dwa lata później uzyskuje w Rzymie doktorat z teologii i zostaje mianowany wykładowcą logiki w Angelicum. Wykłady rozpoczyna w roku akademickim 1934/1935. W jesieni 1934 r. wziął udział w międzynarodowym kongresie filozoficznym w Pradze. Uczestnictwo było dla niego wielkim przeżyciem. Sądzi, że stanowi coś w rodzaju punktu zwrotnego w jego myśleniu. Bowiem na tym kongresie wystąpiła, jako zorganizowana siła, szkoła wiedeńska, *Wiener Kreis*, ówczesnie najbardziej wpływowa odmiana filozofii analitycznej. Ci filozofowie, przeważnie młodzi, mieli dwie cechy. Najpierw o większości zagadnień i twierdzeń innych filozofów mówili, że nie mają sensu, następnie używali logiki matematycznej, której nikt nie rozumiał – dokładniej mówiąc, nikt oprócz Polaków. Otóż Roman Ingarden zaatakował ich frontalnie, poddając niszczącej krytyce jedno z ich podstawowych twierdzeń – że zdanie, dla którego nie ma metody sprawdzenia, nie ma sensu. Rozumowanie Ingardena było proste. Mówicie, że zdanie, dla którego nie ma metody sprawdzenia, nie ma sensu. Ale, przecież to, co mówicie, jest takim właśnie zdaniem. Znaczy więc, że to, co mówicie, nie ma sensu. Był obecny na sali podczas niemal dwugodzinnej dyskusji i widział z satysfakcją, że nie zdobyli się oni na żadną godną uwagi odpowiedź. Notabene, odpowiedzieć było stosunkowo łatwo, używając rozróżnienia między językiem a metajęzykiem. Ale epokowa praca Tarskiego, wprowadzająca to rozróżnienie, ukazała się po niemiecku dopiero w rok później i wiedeńczycy jej nie znali<sup>11</sup>.

Przebywając i pracując w Rzymie, utrzymywał w latach 1934-1939 ścisłe kontakty z krajem, zwłaszcza z logiczami polskimi. Jest zdania, że miał we wspomnianych kontaktach szczęście. Wprawdzie w Polsce było i jest sporo małości, podłości i chamstwa – bodaj stosunkowo więcej niż w innych szczęśliwszych nacjach, jako że u nas wszystko, co lepsze, było regularnie prześladowane, jeśli nie

---

<sup>11</sup> Tamże, 73-76.

po prostu mordowane przez wrogów. Otóż jego zdaniem dwie co najmniej rzeczy były bardzo wielkie: Niepokalanów i logika polska, choć były to różne osiągnięcia. Maksymiliana Kolbego poznał osobiście i jak to zwykle bywa, nie zdawał sobie sprawy, z kim miał do czynienia. Obecnie sława jego heroicznej śmierci przyćmiewa poniekąd dzieło jego życia. Szkoła Lwowsko-Warszawska była znakomita, sławna w całym świecie. Jako dominikanin nie może pominąć milczeniem związku tej szkoły z jego zakonem. Otóż polega ona na tym, że twórca szkoły, nauczyciel wszystkich czołowych logików pierwszego pokolenia, Kazimierz Twardowski, był uczniem Franciszka Brentano, który był diakonem dominikańskim, kiedy wystąpił z zakonu. Pierwsze miejsce między logikami polskimi zajmowali wówczas Jan Łukasiewicz i Stanisław Leśniewski oraz uczeń ich obu – Alfred Tarski. W marcu 1938 r. habilituje się na Wydziale Teologicznym UJ na podstawie pracy *Z historii logiki zdań modalnych*. Rozpoczyna intensywne studia nad historią logiki. Nawiązuje liczne kontakty z filozofami oraz logikami polskimi i zagranicznymi. Przełożeni zlecają mu czuwanie nad budową klasztoru Ojców Dominikanów na Służewiu w Warszawie. Tu zastaje go wybuch drugiej wojny światowej. Uczestniczy w niej jako kapelan aż do bitwy pod Kockiem<sup>12</sup>.

Jesienią 1939 roku udaje mu się dotrzeć do Rzymu. Tu, w owym czasie, nie czuł się dobrze. Miasto było pełne uchodźców, którzy porzucili swoje stanowiska w Polsce i byli rozhisteryzowani. Nie wie, dlaczego stał się prędko przedmiotem nieustannych donosów. Nie miał sobie nic do zarzucenia. W przeciwieństwie do tych nieszczęśliwych nie miał żadnego zadania do spełnienia w kraju i jego miejsce było albo w wojsku, albo w Rzymie. Niemniej uchodził u tych rodaków za agenta Gestapo i NKWD. Na skutek tych donosów rząd polski odmawiał mu wizy potrzebnej na wyjazd do Francji. Urzędowa propaganda włoska stawiała się coraz bardziej wroga dla Polski i Polaków. Mussolini krzychał do mikrofonu: *Finita la Polonia!* Nie ma pojęcia, czy to właśnie skłoniło władze emigracyjne do litości względem takich parszywych owiec jak on, ale w każdym razie dostał w maju 1940 roku nieoczekiwane pozwolenie na wyjazd do Francji. Wspomina o tym nie bez goryczy. Od czasu opuszczenia

---

<sup>12</sup> Tamże, 103, 104 nn, 115 nn.



uniwersytetu nie zajmował się nigdy polityką. W szczególności nic go nie łączyło ze zniechędzonym przez rząd na emigracji obozem Piłsudskiego. Wracał z pola bitwy i nie prosił o nic innego, jak tylko o możliwość dalszej walki. Mimo to w ciągu kilku miesięcy uniemożliwiono mu powrót do wojska. Ale w końcu jechał<sup>13</sup>.

Na granicy przesłuchiwał go długo oficer wywiadu francuskiego. Kiedy mu powiedział, że zna o. Chenu, ów okazał taką znajomość tego znakomitego mediewisty, że zapytał go wręcz, co on za jeden. Naturalnie był jezuitą. Bo księża francuscy nie wstydzili się służyć nawet w „dwójce”. A Francja waliła się w gruzy. Jej armia toczyła najpierw jakąś „dziwną wojnę”, kpiny z prawdziwej, a następnie niemal rozleciała się pod uderzeniem nieprzyjaciela. A przecież Francuzi mieli więcej dywizji i więcej czołgów od Niemców. Czego im brakowało, to geniuszu wojennego i woli walki. Polaków traktowali z pogardą, zarzucając nam tchórzostwo. Byli i są przekonani, że są najbitniejszym narodem świata. On sam ma raczej ujemne wyobrażenie o ich cnotach wojskowych. Nie bili się serio w 1940. Skapitulowali w niezrozumiały dla nas Polaków sposób. Utworzyli później parę dywizji w Afryce, ale złożonych, poza oficerami, prawie wyłącznie z Murzynów. Ich *resistance* była jednym z najslabszych ruchów oporu w Europie<sup>14</sup>.

Sytuacja stawała się krytyczna i musieli decydować, co robić. Było jasnym, że trzeba jechać do Wielkiej Brytanii. Dowództwo zorganizowało eszelon do jazdy w kierunku wybrzeża atlantyckiego. Zaokrętowanie pozostało mu w pamięci jako przeżycie dramatyczne. Stojąc na przedzie barkasy wiozącej ich ku *Batoremu*, zaczął odmawiać na głos psalm w niezrównanej parafrazie Kochanowskiego: „Kto się w opiekę odda Panu swemu”. Choć danym mu było nie raz przewodniczyć w gorącej modlitwie, nigdy nie doznał wrażenia takiej żarliwości, takiego oddania się Bogu, jak wtedy. I nic dziwnego. Potęga grzesznych zdawała się burzyć wszystkie przeszkody, zdobywać cały świat. Ci z tej barkasy, którzy przeżyli, mogli rzeczywiście widzieć zwycięstwo, które wydawało się wówczas niemal niemożliwe. Gdy barkasa przybiła do burty *Batorego*, nastrój zmienił się radykalnie. Stali się przedmiotem uprzejmości załogi *Batorego*, która po ostatnich przeżyciach wydała mu się aż śmieszna. Aby

---

<sup>13</sup> Tamże, 135, 151-152.

<sup>14</sup> Tamże, 152-153.



uniknąć niemieckich łodzi podwodnych, płynęli i zygzakiem, i długo. Wreszcie dotarli do portu Plymouth<sup>15</sup>.

Brytyjczycy nie byli przygotowani na ich przybycie, a przynajmniej na to, że będzie ich ponad czterdzieści tysięcy. Mimo to organizacja nie zawiodła. Mieli zawsze miejsca w namiocie i pożywienie. Po jakimś czasie były gotowe obozy w Szkocji i ci, którzy nie należeli do jednostek liniowych, mogli wyjechać do tego pięknego kraju. Tu został mianowany oficerem oświatowym. Prowadził wykłady z historii Wielkiej Brytanii. Zresztą w Szkocji nic się nie działo. Edynburg był raz bombardowany, akurat w nocy, kiedy kwaterował tam nasz ks. biskup polowy, działający jak magnes na nieprzyjacielskie samoloty. Jego wspomnienia odnoszą się przede wszystkim do Szkocji i Szkotów. Polubił ten kraj i tych ludzi. Nie zraził się do nich i to mimo swego nieekumenicznego stosunku do protestanckich herezji, z którego jest znany. Dlaczego? Otóż w Edynburgu rozmawiał ze Szkotką, narzeczoną polskiego oficera. Powiedziała jej, że im więcej wspólnego między małżonkami, tym lepiej, czy by więc nie pomyślała o zostaniu katoliczką. Odpowiedziała mu: „Ja kocham Janka, ja go tak kocham, że bym wszystko dla niego oddała, tylko nie moją wiarę”. Jej wiara tak mu zaimponowała, że dał tej sprawie spokój, zresztą nawróciła się parę miesięcy po ślubie<sup>16</sup>.

W sierpniu 1943 roku sytuacja wymagała podjęcia nowego i dość nieoczekiwanego zadania: autentycznego proboszczowania. W tym mieście bowiem byli nie tylko oficerowie i żołnierze, ale także liczne i coraz liczniejsze ich żony, czasem z dziećmi. Nie miał żadnego przygotowania do takiej funkcji, był teologiem, teoretykiem, bez normalnej praktyki duszpasterskiej. Powiedział sobie, że z próżnego nie należy i że może dać tylko to, co ma. Zaczął więc systematycznie głosić kazania o Bogu i Trójcy Świętej. Ku jego zdumieniu liczba słuchaczy niemal potroiła się, choć zapewnia, że złotoustym kaznodzieją nie jest. Widocznie ludzie cieszą się, gdy mogą się czegoś nauczyć w kościele; niestety kaznodziejstwo w Polsce rzadko zaspakaja tę potrzebę<sup>17</sup>.

W dniu 16 lutego 1944 roku zostaje zaprzysiężony jako kapelan do zleceń ks. biskupa polowego i awansowany do stopnia

---

<sup>15</sup> Tamże, 154-156.

<sup>16</sup> Tamże, 157, 160.

<sup>17</sup> Tamże, 160.

starszego kapelana. Z tej racji ma spędzić przeszło miesiąc w Londynie. Bombardowania Londynu były wówczas częste i nieraz ciężkie. Raz z ks. biskupem Gawliną cieszył się tymi nalotami dwojako. Z jednej strony widok potężnego ognia przeciwlotniczego, bomb świetlnych i pocisków trasujących był niezrównany – on przynajmniej nigdy w życiu nie widział niczego, co mogłoby się z nimi równać. Z drugiej strony mieli obaj nie bardzo chrześcijańską przyjemność w drażnieniu kapelana ks. bpa Radońskiego, niezwyklego tchórza. To się działo tak, że ks. biskup mówił: „Czuję coś, jak gdyby miał być dzisiaj nalot”, a on potwierdzał: „Jestem pewny, że Ekscelencja ma rację, i to będzie ciężki nalot”. Te słowa wystarczały zwykle, aby ów godny kapłan zniknął w piwnicy<sup>18</sup>.

Główną troską ks. bpa polowego, a więc i jego, był projektowany wyjazd na front włoski. Ks. bp J. Gawlina był jedynym biskupem polowym, który w czasie tej wojny żył naprawdę w polu, jak jego tytuł głosi – inni siedzieli w stolicach i przyjeżdżali na front okazjnie. Ks. J. Gawlina był przecież polskim biskupem, w pełni świadomym polskiej tradycji. Tylko ów wyjazd na front nie był łatwy. Potępieńcze swary dały się i tu odczuć. Ks. biskup uchodził za piłsudczyka, a więc za rodzaj wroga, któremu należało szkodzić i sprawiać wszystkie możliwe trudności. Jako jego kapelan może zaświadczyć, że ks. bp Gawlina nie prowadził nigdy jakiegokolwiek akcji politycznej we Włoszech. Cały czas był oddany wyłącznie swoim obowiązkom duszpasterskim, które pełnił, jak na biskupa polowego przystało, mężnie, z narażeniem życia. W końcu pozwolenie na wyjazd przyszło<sup>19</sup>.

Odlatują więc na front. W dniu 20 marca 1944 odlecieli z Londynu do Portreath w Kornwalii Dakotą *Duch Ostrej Bramy*. Na pokładzie był naczelny wódz gen. K. Sosnkowski, szef sztabu gen. Kopański, ks. bp Gawlina, dwóch pułkowników lotnictwa, oficer szyfrujący i nasz bohater. W Portreath czekano długie godziny na dalszy lot, zabijając czas grą w brydża, przy czym jeden ze wspomnianych pułkowników ograł nas na sucho. Następnego dnia, 21 marca, lecieli do Gibraltaru i stamtąd tego samego dnia do Algieru, gdzie spędzono cztery dni i odlecieli dopiero 25 marca z zamiarem lądowania

---

<sup>18</sup> Tamże, 161.

<sup>19</sup> Tamże, 162.

wania w Neapolu. Wybuch Wezuwiusza uniemożliwił ten zamiar i wyładowano w Brindisi<sup>20</sup>.

24 kwietnia 1944 roku towarzyszy ks. biskupowi J. Gawlinie w locie do Kairu. Tu bowiem zwizytowano 3 Korpus stacjonujący w Egipcie. 11 maja są już pod Monte Cassino. Ks. biskup odwiedza dowódcę korpusu gen. W. Andersa, który mówi: „Ks. biskup przynosi mi szczęście. Ja zawsze lubiłem jedenastkę, a tu jedenastego maja nacieram, o jedenastej wieczór, na odcinku jedenastu kilometrów, przy wsparciu jedenaście set dział...”. I rzeczywiście, miał szczęście w tej bitwie<sup>21</sup>.

W namiocie generalskim pułkownik Wiśniowski podaje papier gospodarzowi, który świetnie ubrany i promieniujący młodością czyta powoli na głos. Nic nie wskazuje na niezwykłość chwili. A jednak jest to wielka chwila, kawałek historii, której dzieci polskie będą się uczyły przez wieki. Ten papier, który generał czyta, to rozkaz bojowy. Szef sztabu przyniósł go do przepisania. Za chwilę zawarczą silniki gońców i kości będą rzucone. To jest początek bitwy o Monte Cassino. Patrzy po obecnych i stara się wykręcić ich wzruszenie. Bezskutecznie: ci ludzie wojny są zadziwiająco spokojni. Jeżeli jasna twarz generała i spokojny ruch, którym ks. biskup strzeponuje popiół z papierosa, wyrażają jakieś uczucie, to chyba radość. Radość, żeśmy się doczekali, że zaczyna się wielka bitwa, w której po raz pierwszy dane nam będzie zmierzyć się z Niemcami równą bronią na odcinku historycznej wagi<sup>22</sup>.

„Ks. biskup połowy wychodzi z namiotu-kaplicy, spogląda z roztargnieniem w niebo i pyta, czy już. Melduję, że za pięć minut. Siadamy na ławce. Nagle pada strzał armatni i w chwilę po tym zrywa się wprost ryk dział. Ks. biskup postanowił odprawić mszę św. o 1: 15 w nocy, tak aby podniesienie wypadło na początek natarcia. W chwilach gdy ryk dział zdaje się zbliżać, płachty namiotu falują i świeczki trzeba ochraniać, aby nie gasły. Ks. biskup odmówił prefaceję, gdy artyleria zamilkła, tym razem natarcie jest naprawdę w toku. Słyszę słowa konsekracji i wiem, że ks. biskup modli się z nami wszystkimi za tych, którzy w tej chwili giną. Nie wie, dlaczego ogarnia go niepokój. Jak się okazało, nie był on bezpodstawny.

---

<sup>20</sup> Tamże, 162-163.

<sup>21</sup> Tamże, 165, 167-168.

<sup>22</sup> Tamże, 168.

Zostaliśmy pobici. 12 maja 1944 r. od rana długie kolumny sanitarek przywożą, jedna za drugą, setki i setki pokaleczonych ciał. Był to okropny dzień: kryzys bitwy. Nadszedł jednak dzień zwycięstwa: 19 maja klasztor został zdobyty”. Generał W. Anders wydał obiad dla dowódców korpusów, które wchodziły w skład armii gen. S. Alexandra. Ks. biskup J. Gawlina zaproponował, aby zrobić składkę na odbudowę klasztoru. Na to gen. Alexander powiedział: „Very good, I gave the order to destroy it and I shall be glad to sign first” – „Ja dałem rozkaz zburzenia go i będę się cieszył, jeśli będę mógł podpisać listę składek jako pierwszy”. Podsunęto mu przygotowaną z góry listę i generał podpisał na 25 funtów czy dolarów, których zresztą, o ile o. Bocheński pamięta, ofiarodawca nigdy nie wpłacił<sup>23</sup>.

Rzecz ta została mu w pamięci jako przykład odwagi, z jaką dowódca godny tego tytułu bierze odpowiedzialność za swoje rozkazy. Naokoło zburzenia klasztoru na Monte Cassino powstała cała literatura potępiająca je jako „zbrodnię przeciw kulturze” itp. To są oczywiście nieporozumienia. Dowódca jest w pierwszym rzędzie odpowiedzialny za losy wojny i życie swoich żołnierzy, wszystko inne ma dla niego drugorzędne znaczenie. Jeżeli dla uratowania życia jednego żołnierza trzeba wysadzić w powietrze Watykan i Louvre, dowódca wysadzi je bez najmniejszego skrupułu. I czyniąc tak, postąpi zgodnie z elementarnymi nakazami moralności, bo na ziemi nic nie jest ważniejsze od życia człowieka. Ale propaganda najróżniejszych klerków i zgniłków stała się w czasach nowożytnych tak wpływowa, że z przyjemnością słyszy się przyznanie do prawdziwej etyki wojennej, takie jak owo powiedzenie gen. Alexandra<sup>24</sup>.

17 lipca 1944 na rozkaz ks. biskupa Gawliny opuszcza front, aby objąć historyczne stanowisko kapelana komendy placu Rzym i biura prasowego biskupa polowego. Te funkcje pełnił w ciągu piętnastu miesięcy, do dnia 15 października 1945 r. W Rzymie przeżył zwycięstwo aliantów i ich zdradę naszego kraju, który w Jałcie został wydany na pastwę Moskali. Ma z tych czasów żywe wspomnienie częstych spotkań z mons. Montinim, późniejszym papieżem Pawłem VI. Był mianowicie przez jakiś czas, będąc najstarszym stopniem, dziekanem kapelanów alianckich miasta Rzymu i jako taki miał stale różne sprawy do załatwienia w Watykanie u mons.

---

<sup>23</sup> Tamże, 170-171, 178-179.

<sup>24</sup> Tamże, 179.

Montiniego. Pozostawił mu niezatarte wrażenie niezwykle inteligentnego i prawego człowieka. Był tak inteligentny, że dostrzegał od razu argumenty przeciw każdej decyzji. Nie może pojąć, jak ten człowiek mógł się zdobyć na tyle i tak ważnych decyzji jako papież. Natomiast nie dziwi go, że był tak nie lubiany w kurii rzymskiej – za nadto górował nad swoim otoczeniem – ani to, że środki przekazu najzupełniej sfalszowały jego sylwetkę duchową. Te środki zdają się być najczęściej niezdolne do zrozumienia wielkości i wszystko ściągają do poziomu motłochu. W Rzymie przeżył razem z Polakami zdradę jałtańską. Ta zdrada nastąpiła w czasie, gdy walki jeszcze trwały, i pytanie, czy warto dalej walczyć, narzucało się z siłą. Wszyscy, o ile pamięta, stali na stanowisku, że dalej walczyć nam nie wolno. Nie było już sprawy, dla której nasi żołnierze mogliby się narażać i ginąć. W tym duchu napisano list do gen. Andersa. Generał posłuchał jednak rady płk. Bączkiewicza i kazał walczyć dalej. Uważa, że jego, i nie tylko jego, zdaniem zawiedziono się na nim – nie wykazał w tej sprawie wielkości<sup>25</sup>.

Kampania włoska skończyła się tak, jak kampania polska, klęską. Trzeba było myśleć o likwidacji i odjeździe do Fryburga w Szwajcarii, gdzie miał objąć katedrę na uniwersytecie. Linia kolejowa do Lucerny wiodąca przez przełęcz św. Gotarda jest jedną z najpiękniejszych w świecie. Naprzeciwko niego siedziała kobieta tak oczywiście odżywiona i wypielęgowana, że czegoś podobnego nie widział od wielu miesięcy. Patrząc na nią, zrozumiał, jak wielki skok wykonał do świata neutralnych cywilów. Ich szczęśliwy świat jest nieraz dumny z tego, czym jest, ale zapomina, komu zawdzięcza ten dostatek i komfort. Tym kimś są poniewierani i ginący żołnierze<sup>26</sup>.

We Fryburgu pracował 27 lat od jesieni 1945 aż do przejścia na emeryturę po semestrze letnim 1972. Wspomina, że uniwersytet fryburski jest tworem jedynym w swoim rodzaju. Jego idea powstała w głowie George'a Pythona, człowieka, który wyprowadził kanton z upadku przez założenie uniwersytetu, banku państwowego i wielkich zakładów hydro-elektrycznych – dwu ostatnich celem finansowania uniwersytetu. Idea była prosta, ale nowa: stworzyć uniwersytet, który by był równocześnie po pierwsze, uczelnią pań-

---

<sup>25</sup> Tamże, 185, 187.

<sup>26</sup> Tamże, 189-190.

stwową, po drugie, uniwersytetem katolickim, po trzecie, szkołą międzynarodową. Spotkał się oczywiście z gwałtownym oporem zarówno ze strony kleru, przyzwyczajonego do uniwersytetów podległych wyłącznie biskupowi, jak i ze strony świeckich nie rozumiejących, jak pogodzić wspomniane trzy cechy. Projekt doszedł do skutku i miał powodzenie między innymi dzięki dwóm okolicznościom: wypędzeniu zakonników z Francji i współpracy zakonu dominikańskiego. We Francji wprowadzono tak zwany rozdział Kościoła od państwa, polegający na konfiskacie klasztorów i wypędzeniu zakonników<sup>27</sup>.

Wspomina, że struktura tego uniwersytetu uchroniła go od zesłania do jakiejś Patagonii i w ten sposób zachowała dla nauki. Nie wie, czy to jest jej wielka zasługa, ale w każdym razie faktem pozostaje, że bez interwencji rządu kantonálnego musiałby porzucić katedrę i pracę naukową. Zagrożenie przejawiało się już uprzednio. Cenzura zakonna, dokładniej o. Philippe, odmówiła mu pozwolenia na druk jego zarysu logiki matematycznej, jeśli nie skreśli wszystkich odnośników do scholastyki. Chodziło im o to, aby broń Boże nie podejrzewano, że coś tak wrednego jak dobra logika formalna istniała w scholastyce. Musiał więc te skreślenia przeprowadzić, co go kosztowało całe dwuletnie kieszonkowe, tekst bowiem był już złożony<sup>28</sup>.

Najważniejszy atak krabów przyszedł dopiero później. Trzeba wiedzieć, że w ustrojach dyktatorialnych, a takim jest ustrój Kościoła katolickiego, naukowców nie prześladują zwykle wysoko postawione osobistości, ale koledzy, owe kraby niezdolne do twórczej pracy. Tak było i w jego wypadku. W każdym razie dostał od generała zakonu, o. Suareza, pisemny rozkaz zawieszenia wykładów i przygotowywania się do wyjazdu. Semestr był w toku, tak że sankcja musiała przybrać charakter upokarzający. Mimo to uznał, że nie wolno mu niczego podejmować przeciwko decyzji o. generała i w rzeczy samej niczego nie przedsięwziął. Rzecz ta jednak nie mogła zostać zatajona we Fryburgu. Rząd kantonalny zwrócił się do generała zakonu, zdaje się w ostrej formie, i generał musiał ustąpić. Profesor J. Bocheński został we Fryburgu. Sprawa znalazła swój epilog w burzliwej rozmowie z o. generałem, podczas której okaza-

---

<sup>27</sup> Tamże, 191, 192.

<sup>28</sup> Tamże, 209.

ło się, że nie miał on najmniejszego pojęcia o tym, kim jest J. Bocheński. Znał tylko donosy jego szanownych kolegów. Powiedział mu, między innymi, że jest niczym, że nie ogłosił niczego poza paroma artykułikami – a miał wówczas na sumieniu prawie tuzin książek i wracał właśnie z zebrania, na którym wybrano go prezesem światowego związku logików i metodologów nauki. Bywa i tak<sup>29</sup>.

Dodajmy jeszcze, że w przeciwieństwie do wielu innych zakonników, zwłaszcza Francuzów, nie ogłosił ani jednego zdania, które można by uważać za polityczne, wyjąwszy jego krytykę komunizmu. Nie ogłosił też niczego o charakterze teologicznym, publikował aż do lat osiemdziesiątych wyłącznie na tematy filozoficzne, przede wszystkim logiczne. Jeśli więc był prześladowany, to tylko z powodu jego poglądów na logikę i jej historię, co nadaje prześladowaniu charakter tym bardziej haniebnym<sup>30</sup>.

Równoległe z pracą naukową i administracyjną na uniwersytecie zajmuje się także duszpasterstwem polskim. Musiał zająć stanowisko polityczne wobec „polskiej” ambasady prowadzonej wówczas przez targowiczana Putramenta. Uznał, że Putrament i jemu podobni byli agentami Moskwy, okupującej Polskę. Rzekomy rząd polski był agenturą złożoną ze zdrajców. To przeświadczenie wyznaczyło kierunek jego obywatelskiego działania<sup>31</sup>.

Po przejściu na emeryturę wykładał w roku akademickim 1972/1973 jako *visiting professor Catholic University of America* w Waszyngtonie. Rok później głosi odczyty na *New York University*. W roku 1975 przebywa w Izraelu na zaproszenie rządu (od 10 do 18 marca).

Pierwszą podróż do Polski od 1939 roku odbywa w roku 1987 (od 18.10. do 12.11.). Rok później otrzymuje doktorat *honoris causa* Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie.

W czerwcu 1990 roku w Londynie stwierdza: „Jeśli zająłem się nauką, jeśli nawet wśród filozofów byłem zawsze obrońcą rozumu, to nie mimo tego, że jestem zakonnikiem, a właśnie dlatego, że nim jestem. Nie miałem zamiaru oddać się nauce. Gdy wstępowałem do zakonu, marzyłem o życiu misjonarza, ale zostałem filozofem, bo

---

<sup>29</sup> Tamże, 209-210.

<sup>30</sup> Tamże, 210.

<sup>31</sup> Tamże, 215.



tak chcieli przełożeni. W moim własnym rozumieniu jestem i od 50 lat byłem stale najpierw i przede wszystkim katolickim zakonnikiem, dokładniej dominikaninem. Mojemu zakonowi zawdzięczam prawie wszystko, co zdziałąłem – między innymi ten drobny przyczynek, jaki zdołałem wnieść do nauki”<sup>32</sup>.

Zasygnalizujemy krótko pięć myśli wymienionych w jego wspomnieniach:

1. Myśl naukowa. Pociąga ona za sobą odrzucenie ideologii, to jest rozstrzygnięcia o faktach w świecie metodami nienaukowymi. Ta myśl nie potrzebuje uzasadnienia. Ze stanowiska chrześcijańskiego obowiązuje również dlatego, że każda ideologia jest bluźnierstwem, przypisuje autorytetowi ludzkiemu cechy boskie. Myśl ta brzmi zapewne racjonalistycznie i jest też taka. Formuluje postulat pełnego racjonalizmu we wspomnianych granicach. Jest to postulat trudny do zrealizowania. Nauka daje nam tylko fragmenty, a nie pełny obraz rzeczywistości. Człowiek wierzący może sobie łatwiej pozwolić na bezwzględny racjonalizm w zakresie spraw tego świata.

2. Myśl humanistyczna. Zawiera stwierdzenie pierwszeństwa jednostki. Nie ignoruje przez to społeczeństwa. Człowiek potrzebuje go dla swojego rozwoju i to w dwojaki sposób, po pierwsze, bo rozwój wymaga ustalonego ładu, po drugie, bo jednostka, osoba może wzrastać duchowo tylko we wspólnocie. Tworzenie warunków po temu stanowi bezpośredni cel polityki. Sensem działania politycznego jest służba rozwojowi prawdziwego człowieka. Społeczeństwo jest dla jednostki, nie na odwrót. A kiedy wymaga się od jednostki ofiar na rzecz społeczeństwa, to w imię innych jednostek, a nie w imię kolektywizmu czy mitycznego człowieka przyszłości.

3. Myśl społeczno-demokratyczna. Każdemu człowiekowi przysługują pewne niezbywalne, podstawowe prawa i jeśli o nie chodzi, wszyscy ludzie są równi. Żadna nierówność pod innym względem nie uzasadnia nierówności pod względem tych praw, a to znaczy, że jeśli o nie chodzi, to nie ma lepszych lub gorszych ludzi, rodzin, narodów lub klas. Ta myśl rozpatrywana w oderwaniu nie jest oczywista. Doświadczenie wykazuje nam stale, że ludzie nie są równi

---

<sup>32</sup> Tamże, 341.

w żadnym empirycznie stwierdzalnym względzie. Ale ta sama myśl staje się jasna, kiedy rozpatrujemy ją w świetle myśli humanistycznej, bo to, w czym człowiek jest wyższy od całej przyrody, jest czynnikiem transempirycznym, nie dającym się poznać przez obserwację ani opierające się na niej rozumowanie. Człowiek nosi w sobie godność transcendentną, w odniesieniu do niej nie posiadamy jednak żadnych mierników ani kryteriów, musimy więc wszystkich ludzi uważać za równych. Ta myśl staje się szczególnie jasna ze stanowiska chrześcijańskiego, zgodnie z którym każdy człowiek jest powołany do osobistej przyjaźni z Bogiem. Kto jest tym przyjacielem Boga, a kto nie – nie wiemy. Wiemy tylko tyle, że człowiek stojący nisko pod każdym względem naturalnym może posiadać właśnie tę godność, podczas gdy inny, o wysokim poziomie kulturalnym i intelektualnym, może jej nie mieć. Wiemy też jako chrześcijanie, że wszyscy jesteśmy braćmi. W porównaniu z tym wszystkie, nawet największe różnice są bez znaczenia.

4. Myśl polityczno-demokratyczna. Uzasadniona jest ona empirycznie. Jest wynikiem długiego i krwawego doświadczenia ludzkości. Doświadczenie to jest wystarczająco długie, aby stanowić mocne oparcie tej myśli, która w dzisiejszym stanie rzeczy może uchodzić za nie podlegającą wątpliwości.

5. Myśl ekonomiczno-pluralistyczna. Ustrój pluralistyczny należy przedłożyć nad powszechny monopol środków produkcji, przede wszystkim ponad monopol państwowy, ponieważ ten prowadzi do zniewolenia człowieka. Ta myśl nie jest identyczna z liberalizmem ekonomicznym, bo nie utrzymuje, że dysponowanie gospodarką ma leżeć w rękach prywatnych przedsiębiorców (choć tego nie wyklucza). Można sobie wyobrazić gospodarkę socjalistyczną, a jednak pluralistyczną, w której zakłady należałyby na przykład do związków zawodowych, spółdzielni, gmin itd. i nie pozostawałyby pod zarządem państwa. Utożsamienie socjalizmu z monopolem państwa jest najzupełniej bezpodstawne. Myśl ekonomiczno-pluralistyczna nie wyklucza także upaństwowienia pewnych dziedzin gospodarki. Odrzuca tylko monopol obejmujący jej całość, a więc ustrój, w którym praktycznie całą gospodarką kieruje tylko jeden ośrodek dyspozycyjny<sup>33</sup>.

---

<sup>33</sup> Tamże, 329 nn.

Wymienione powyżej myśli nie są ideologią, gdyż nie tworzą systemu, a zawarte w nich dyrektywy są całkiem ogólne i oparte na doświadczeniu. Nie chodzi w nich o stany już gdziekolwiek w pełni urzeczywistnione. Nie są osiągnięciami, ale ideałami, jak się zdaje, ideałami transcendentalnymi, do których możemy się tylko zbliżyć, ale nie możemy ich w pełni urzeczywistnić<sup>34</sup>.

Józef Bocheński w swojej działalności był powodowany przez dwa motywy: jeden filozoficzny, drugi polityczny. Ponieważ jest i zawsze był racjonalistą, motywem filozoficznym było szukanie myśli jak najbardziej racjonalnej. Po długich poszukiwaniach znalazł ją w filozofii analitycznej. Motywem politycznym była jego zdecydowana walka z okupantem. Mundur nosił przez pięć lat.

O. Józef Bocheński zmarł w Szwajcarii 8 lutego 1995 roku. Egzekwie żałobne odbyły się tamże. Pogrzebu nie było.

---

<sup>34</sup> Tamże, 334.